Rok 2 Chojnice, dnia 9 listopada 1933. Nr. 86

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIESCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

SIEROTY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW 43

— Ty nie wiesz — rzekła an to baronowa — ale ja wiem dokładnie, że już tam jest, i oczekuje nas. Spieszmy się!

Nie ulegało wątpliwości, że obłęd ogarnękaną głowę baronowej.

Pokazało się to jeszcze wyraźniej, gdy przybyli do zamku. Baronowa, nie witając się z nikim, wyskoczyła czemprędzej z powozu i pędem pobiegła do domu, gdzie chodząc od pokoju do pokoju, szukała Alfreda. Nie znalazłszy go w domu, wyszła do ogrodu i szukała, przetrząsając wszystkie zagajenia i nie zważając, że gałęzie chłoszczą ją po twarzy i ranią.

Służba wysłana za nią, znalazła ją omdlałą nad rzeczką. Józef polecił ją przenieść do pałacu A tymczasem powóz pędził, co koń wyskoczy, po lekarza.

Baron siedział milczący i przybity tym okropnym ciosem w towarzystwie miejscowego księdza proboszcza.

— Wolałbym był umrzeć — mówił baron — niż patrzeć na niedolę biednej mojej małżonki.

—Bóg rządzi wszystkiem, panie baronie — napomniał go ksiądz. — Z Jego woli wszelka radość i wszelka niedola. Nie godzi się dopuszczeniu Jego sprzeciwiać.

66. Wyklęty.

Po rozmowie z księdzem proboszczem, ks. kapelan nagle wyjechał. Dokąd, nikt nie wiedział. Niektórzy głosili, że udał się do władzy biskupiej, ażeby się z nią porozumieć. Nauczyciel Gach opowiadał przy piwie o piśmie biskupa, jak ks. kapelan miał rzekomo otrzymać. Biskup zapraszał go do siebie.

— Tyle pewna, że proboszczem naszym zostanie, a ja będę grał na organach, — tak mówił ze śmiechem.

Ludzie się dziwili, że Gach ma zostać nistą, gdy w parafji dotąd stary Szymek nim był. Nie wiedzieli, że Szymek zaprzysiągł, iż r do organów nie przyłoży, jeśli nowy proboszcz potwierdzenia władzy duchownej nie uzyska. Gach słyszał o tem, a że grać potrafił i był znajomym księdza kapelana, więc nie wątpił o tem, iż mu się stanowisko organisty łatwo dostanie.

Parafjanie jednak inaczej myśleli o tem wszystkiem. Okoliczni księża, do których podczas osierocenia w potrzebach duchownych się uciekali, objaśnili ich gruntownie o wszystkiem Gazety wyraźnie jeszcze o ks. kapelanie jako o odstępcy nie pisali, lecz dawały wyraźnie do zrozumienia, iż księża, obejmujący urząd proboszcza bez potwierdzenia władzy, są wilkami w owczej skórze.

Po całej parafji osieroconej szły wieści niepokojące i co dzień minął, dziękowali ludzie Bogu, że im nieszczęścia nie przyniósł.

Była w parafji żebraczka stara, imieniem Marta. Żyła z łaski ludzi a choć podeszła w leciech, i z wyglądu słaba i nędzna, wszelako dziwnie krzepko się jeszcze trzymała. Jedni uważali ją za obłąkaną, bo bywało gdy zacznie opowiadać tyle rzeczy niezrozumiałych i mgl głosi, iż trudno pojąć. Kobiety uważały ją za prorokinię, dla której przyszłe rzeczy nie są tajne. Była bardzo pobożna i uczynna.

Ta żebraczka najwięcej się przyczyniła do oświetlenia parafjan w sprawie księdza rządowego.

— Przyjdzie, przyjdzie — głosiła — w szatach księdza, ale wilk w nim siedzi. Nie wierzcie przeto mu, bo zginiecie wy i dziatki wasze. Nie Chrystusa to sługa, lecz wrogów jego. Ludzie, czuwajcie, abyście nie popadli w okropne nieszczęście.

Zaczęli się tedy ludzie naradzać, co czynić, skoroby wieści okazały się prawdziwe, a ksiądz odstępca do nich zawitał. Byli tacy, którzy czynny opór stawić mu chcieli.

— Nie wpuścimy go do kościoła, nie damy mu odprawiać nabożeństwa.

Rozważniejsi radzili zachować spokój i rozwagę i jeżeli nieszczęścia odwrócić nie można, znosić je w cichości ducha, lecz kościoła i księdza rządowego unikać.

Tak samo radzili księża z okolicy, do których nieszczęśliwi parafjanie się uciekali.

A nad nieszczęsn ąparafją zawisła niejako czarna chmura, z której lada moment miał wypaść piorun.

I uderzył rzeczywiście.

Pewnego wieczora rozeszła się wieść, iż nazajutrz ksiądz przyjeżdża i kościół obejmuje. Nauczyciel Gach i kilku jego towarzyszów rozpowiadało, że biskup dał pozwolenie. Zachęcali też ludzi, ażeby jak najliczniej na wprowdzeni nowego księdza się stawili.

Ludzie jednak nie dowierzali i ten i ów jeszcze późnym wieczorem biegł do Zawady i do innych sąsiednich parfaji zasięgnąć języka. Przez całą noc trwały narady po chatach; wszyscy dorośli zastanawiali się, co czynić, czekali, aż wrócą wysłańcy, kobiety płakały.

Noc otuliła parafję nieszczęśliwą. Wszyscy wyglądali z drżeniem serca, co im poranek przyniesie.

Rychło rano zjawiło się we wsi kilku żandarmów. To był zły znak. Dotąd gdy wprowadzali księży w urząd, widywano przedewszyst-

kiem księży, a oto tym razem zjawili się żandarmi. Z tego wnioskowali ludzie, że ksiądz, który do nich przychodził, nie był powołany przez biskupa.

Wnet też pojawiła się we wsi stara Marta i chodziła od chałupy do chałupy i wołała:

— Nadszedł dzień okropny. Grzechy nasze to sprawiły, że nas Bóg karze. Ludzie, lękajcie się gniewu Bożego. **Niedługo nadjedzie** ten, k rego Bóg nie posłał. Widzicie żandarmów? Oni to będą księdza **wprowadzali**.

Głos ten poruszył wszystkich. Mężczyźni stawali gromadnie przed domami i już nie rozmawiali o tem, co się stanie, lecz o tem, co czynic.

Ale w tej parafji bez pasterza zostawali ludzie w rozsypce. Nie mając przewodnika, stali bezradni. Oświaty politycznej nie zaznawszy, nie byli przygotowani do boju. Żołnierzy nie brakło, lecz nie było dowódców, którzyby żołnierzy w szyk wprawić potrafili.

Ale wierność dla wiary świętej przepełniała im dusze i serca; gdy zajdzie konieczność, znajdą się z pomiędzy ludu przywódcy.

Około godziny dziesiątej miał ksiądz nadjechać. Byli tacy, którzy jeszcze cieszyli się nadzcją, iż wszystkie wieści o nim okażą się nieprawdziwe. Jakżeby ksiądz miał zdradzić Chrystusa?!

Kobiety napominały mężów do spokoju. Ten i ów, ostrożny schronił się do chaty i postanowił z niej nie wychodzić wcale.

Wtem jak iskra elektryczna przeleciała po ludziach; od Zawady ukazało się kilka pojazków.

— Jedzie, jedzie!

W całej wsi powstał ruch, niektórzy z ludzi stanęli nad drogą, inni podeszli ku kościołowi którego drzwi były zamknięte.

W pierwszym powozie jechał ksiądz z panem, o którym ten i ów mówił, że jest landrat. W dwóch inych powozach jechało kilku panów nieznanych. Jednego tylko rozpoznano: wójta z Zawady, dzierżawcę dóbr.

Ksiądz kapelan z Zawady, gdyż on to jechał był blady, jak śmierć. Nie patrzał na stojących ludzi, lecz rozmawiał z panem landratem.

Wtem gdy powóz już miał skręcić ku kościołowi, podniosła się nagle, jakby z ziemi wyrosła żebraczka, Marta, i wzniósłszy ręce w górę, zawołała głosem wielkim:

— **Judasz!**

Konie przestraszyły się tej postaci i stanęły dęba. Lecz woźnica śmignął biczem i popędził galopem naprzód przed kościół.

Tu stała wielka rzesza ludu: mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy zbici w gromadkę, jak sta do spłoszonych ptaków, w które jastrząb ma uderzyć.

Gdy ksiądz nadjechał, cały tłum umilkł nagle i czekał, co się dalej stanie. Na czele stał sołtys i rada gminna, otoczeni starszymi gospodarzami.

Wtem landrat odezwał się do zgromadzonych po niemiecku:

— Oto wasz nowy proboszcz.

Mało kto zrozumiał te słowa, lecz wszyscy się domyślili, co znaczyły. Nikt jednak nie odpowiedział ani słowa.

Ksiądz z landratem podeszli ku drzwiom kościoła i chcieli je otworzyć. Gdy się to nie udało, zwrócił się landrat do ludzi z zapytaniem:

— Gdzie klucze?

Wtedy wystąpił sołtys dwa kroki naprzód i skłonił się landratowi poczem rzekł:

— Ja zamknąłem kościół i zabrałem klucze.

— To je teraz wydajcie — rzekł landrat.

— Nie mogę tego uczynić.

— Dlaczego?

— Ponieważ jak nas słuchy doszły, ksiądz proboszcz nie otrzymał potwierdzenia biskupa.

Nastała cisza, pan landrat tarł się po czole, a w końcu rzekł:

— Wasz ksiądz proboszcz obejmuje kościół i parafję na mocy przepisów ustaw istniejących

— To nie dosyć — odparł na to sołtys — dotąd zawsze ksiądz dziekan wprowadzał nam księdza proboszcza w imieniu księdza biskupa. Dzisiaj go tutaj niema. Domyślamy się przeto, że ksiądz proboszcz nie jest w porozumieniu z władzą duchowną, a takiego księdza my nie chcemy.

— Nie chcemy — zawołało kilku ze zgromadzonych.

Landrat spojrzał po tłumie i marszcząc brwi rzekł do **sołtysa:**

— Czy wiecie, że skoro kluczy nie wydacie, narażacie **się na karę?**

— Dziwiłbym się, — odpowiedział na to sołtys — gdybym miał być za to karany. Czy pan landrat nie broniłby owiec swoich, gdyby się do nich wilk zakradał?

— Cicho! — krzyknął landrat i spojrzał na księdza, który stał spokojny jak kamień.

Z pewnością słyszał słowa sołtysa o wilku i niezawodnie zrozumiał, że on nim jest, lecz nie drgnął nawet na te obelgę.

Na znak landrata zbliżyli się ku niemu żandarmi i poszeptali z nim przez chwilę.

— Sprowadźcie ślusarza! — rozkazał landrat.

Jeden z żandarmów udał się spiesznie do wsi, a ksiądz, landrat i panowie przechadzali się po cmentarzu. Tylko wójt z Zawady zbliżył się do sołtysa i rzekł:

— Cóż to czynicie, panie sołtysie. Sprzeciwiacie się **królewskiemu rządowi i sta**wiac mu opór. Znam was przecie jako spokojnego człowieka, cóż się z wami stało?

— Bronię swego Kościoła — odpar. sołtys — i byłbym lichym katolikiem, gdybym tego nie uczynił.

— Toć i ja jestem katolikiem — rzekł mu na to wójt — a widzicie, że prawom jestem posłusznym. Wiara nasza każe zwierzchności słuchać.

— Słucham jej w rzeczach świeckich, ale w sprawach duszy tylko Bogu jestem posłuszny. Władza świecka, skoro od Boga pochodzi, powinna go także słuchać.

Wójt pokiwał głową i odszedł do panów. Sołtys zaś zwrócił się do najbliższych i zaczął z nimi po cichu rozmawiać.

Tymczasem żandarm wrócił, lecz bez ślusarza. Oznajmił panu landratowi, że ślusarz nie chce drzwi otworzyć.

Panowie zmięszali się i nie wiedzieli co począć.

Wtem ni stąd, ni zowąd zjawił się przy nich pan nauczyciel Gach i kłaniając się landratowi coś mu opowiadał.

Po chwil żandarm znowu się oddalił i niezadługo przyszedł ze sługą szkolnym, znanym całej wsi, Jakóbem Zduniem.

Gdy stanęli przed landratem, Zduń pokłonił się aż do ziemi i czekał, co będzie.

— Pan nauczyciel Gach powiedział nam, że znacie się na robocie ślusarskiej. Otwórzcie drzwi kościoła.

Zduń cofnął się o krok, a potem kłaniając się odrzekł:

— Umiem otwierać, gdy mam klucze, ale do kościoła kluczy nie posiadam. Jakże mam otworzyć?

— Nie udawajcie — wtrącił się wójt z Zawady — jeno zabierajcie się do roboty. Nie mamy czasu.

Zduń pokłonił się wójtowi i odpowiedział:

— Jeżeli mi wielmożny pan landrat albo inny z wielmożnych panów dostarczą wytrychów jakich złodzieje używają, to otworzę.

— Dummer Mensch! — krzyknął na to jede nz panów i zwrócił się do Gacha z wyrzutem że takiego niezdarnego człowieka nastręczył.

Wtłumie słyszano każde słowo Zdunia i zaczęto sie śmiać, bo wszyscy wiedzieli, że sługa szkolny udaje głupiego, ażeby się sianem wykręcić. On zaś ciągle się kłaniał, to na prawo, to an lewo, a gdy zobaczył, że przesłuchy z nim skończone, czemprędzej odszedł.

Po długim szukaniu znaleźli żandarmi siekierę i za jej pomocą otworzyli drzwi kościoła.

Gdy drzwi pękły i obie połowy się otworzyły, wszedł landrat z księdzem naprzód a za nimi inni panowie. Także nauczyciel Gach poszedł ich śladem. Lud zaś wstrzymał się na c[illegible]lę, lecz potem kilku ciekawych postąpiło bliżej drzwi, inni nie mniej ciekawi naparli ich z tyłu tak iż ostatecznie przy drzwiach kościoła stanęła gromadka ludzi.

Ksiądz udał się do zakrystji pustej, bo ani kościelnego ani chłopców do mszy świętej w niej nie zastał. Na chór wszedł pan Gach, chcąc zagrać na organach, lecz nie miał kalkanisty, bo człowiek, który tu dotąd robił, za nic nie chciał urzędu swego pełnić. Posłał przeto po chłopców a tymczasem zszedł z chóru i udał się do zakrystji.

Tak ksiądz jak i wszyscy panowie byli bardzo zmięszani nie wiedząc co począć w takiem opuszczeniu. Oglądali się po kościele, szeptali do siebie spoglądali ku drzwiom, czy lud się nie ruszy ku ołtarzowi.

I nagle zobaczyli, że lud zaczął gęsto napełniać kościół; jedni w ławkach siadali, drudzy stawali w środku i po bokach. Zwolna świątynia zapełniła sie do połowy ludem. Pierwsi w szeregach stali w pewnem oddaleniu od panów, którzy blisko wielkiego ołtarza się ustawili.

Panowie myśleli, że lud jednak dał się nakłonić i sądzili, że skoro pierwsze lody zostały przełamane, wszystko się dobrze skończy.

Tymczasem też ksiądz kapelan ubrał się z pomocą nauczyciela w szaty kościelne i wyszedł z zakrystji z zamiarem odprawienia mszy św. cichej. Gach miał mu służyć do niej.

Zaledwie jednak obaj stanęli przy ołtarzu, gdy pomiędzy ludem rozległ się szmer, a po chwili ujrzano wchodzącego na kazalnicę księdza dziekana.

Wszyscy osłupieli i wlepili oczy w czcigodnego kapłana, który stanąwszy, rzekł donośnym głosem:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen. Z rozkazu naszego najprzewielebniejszego księcia-biskupa mam wam, bracia i siostry w Chrystusie, którzy do tej parafji należycie, oznajmić co następuje:

Henryk

z Bożego zmiłowania i łaski Stolicy Apostolskiej Książę-Biskup Wrocławski.

Oznajmiamy z wielkim dla nas żalem, że zmuszeni jesteśmy tego oto księdza, który tam przy ołtarzu stoi, obłożyć wielką klątwą kościelną.

Wbrew przepisom Kościoła świętego i woli przełożonej władzy duchownej wdarł się do tego kościoła i zamierza objąć zarząt tej tu parafji.

Upomnieliśmy go już raz i zagrozili karą kościelną. Gdy głosu naszego zaślepiony kapłan nie posłuchał, nie pozostaje nam nic innego, choć to z wielką boleścią czynimy, jak dopełnić ostatecznie obowiązku, dla takich członków Kościoła przepisanych.

Zważając na to wszystko i wzywając pomocy Wszechmocnego Boga, na mocy urzędu naszego biskupiego i pasterskiego, podług świętych ustaw kościelnych, ekskomunikujemy go niniejszem w Imię Boga Ojca i Syna i Ducha św.

Wykluczając go ze społeczeństwa Kościoła świętego, ogłaszamy go za pozbawionego wszelkiej godności kapłańskiej, za niezdolnego do jakiegobądź urzędu duchownego i do pełnienia służby i urzędowania, jakie mu udzielono przez wyświęcenie; równocześnie traci wszelkie prawa, godności i przywileje duchownego stanu i imienia.

Błagając Boga o oświecenie zaślepionego kapłana i polecając go pobożnym modłom naszych czcigodnych kapłanów i wiernego ludu, ostrzegamy wszystkich wiernych, że będziemy zmuszeni również wymierzać kary kościelne przeciwko tym, którzyby tegoż kapłana w sprzeciwianiu się zwierzchności kościelnej popierali lub którzy po ogłoszeniu niniejszego wyroku od niego nie odstąpią.

To powiedziawszy zstąpił ks. dziekan z kazalnicy wśród grobowej ciszy i nie zatr[illegible] przez nikogo, wyszedł z kościoła, wsiadł na bryczkę i odjechał.

Ogłoszenie klątwy wywarło na wszystkich nadzwyczajne wrażenie. Nikt nie mógł się oprzeć temu uczuciu, że w tej chwili stało się w tym kościele coś niesłychanego i pełnego grozy. Nawet urzędnicy innowiercy stali jak rażeni gromem.

A ksiądz kapelan stał się z bladego sinym i jak nieżywy stał oparty o ołtarz, oczy w ziemię wlepiwszy. Nauczyciel Gach ,który tak usłużnie księdzu dopomagał, klęczał na stopniach ołtarza, i nie wiedział, czy się podnieść i uciec czy wytrwać.

Lud zaś zwolna zaczął wychodzć z kościoła wśród płaczu i jęków. Niedługo kościół stał się pusty zupełnie.

Po wsi tymczasem, po całej parafji i coraz dalej rozchodziła się stugębna wieść o klątwie przejmując wszystkich grozą wielką.

67. Na wygnaniu.

Od chwili wprowadzenia księdza kapelana na probostwo zaczęły się ciężkie czasy nie tylko dla tej parafji, lecz i dla okolicznych. Parafjanie bowiem, nie uznając swego proboszcza za księdza prawow. udawali się ze swemi spraw. duchownemi do sąsiednich księży. Bardzo często znaeźli się tacy, którzy o tem władzy donieśli, a ta wytaczała proces księżom. Sądy skazywały duchownych na kary pieniężne, później na kary więzienne, a w końcu na wygnanie.

Zawrzała więc walka i powstały dwa obozy. Po jednej stronie stała tylko gromadka, lecz miała za sobą poparcie rządu; z drugiej strony walczyli liczni bojownicy, lecz pozornie i tymczasem ciągle musieli przegrywać, bo stojąc przy prawach Kościoła, uszczuplanych przez nowe ustawodawstwo, mieli zawsze wiatr w oczy. Lecz nie ten zwycięzcą, kto potyczki wygrywa, ale ten, który wojnę walnem zwycięstwem zakończy. Wierni zaś, choć przegrywali teraz, broniąc chorągwi Chrystusa, nie wątpili, że ostatecznie zwycięstwo przy nich się ostanie, bo Jezus jest tym, który zawsze zwycięża.

Walka ta była ogniem przeczyszczającym dla wszystkich katolików. Co między nimi jest prawdziwem złotem ,to złotem pozostanie, a co tylko pamalowanem na kolor złota, to się okaże marnym kruszcem.

Więc nie brakło zdrajców, odstępców i judaszów. Poznali ich wszyscy, choć niejeden skórą owczą się odziewał i na lewo i prawo pobożnie oczami przewracał. Niedługo trwać mogło takie udawanie, bo każdy dzień nieomal nastręczał konieczność, gdzie trzeba się było przyznać, z kim kto ma wspólnictwo.

Kulturkampf miał jak wszędzie, tak i tu to wielkie znaczenie dla katolików, że wystawił ich na próbę ogniową. Kto ją przetrzymał, miał błogie uczucie w duszy, że nie po wierzchu tylko był katolikiem, nie tylko z imienia i urodzenia lecz z gruntu serca, z głębi duszy, z przekonania. To przeświadczenie hartowało ducha, umacniało umysł, zagrzewało serce do walki.

Ksiądz proboszcz z Zawady był jednym z pierwszych, którzy padli ofiarą nowych ustaw. Oskarżono go i skazano Komornicy sądowi przyszli i sfantowali wszystko, co mogli. Parafjanie kupowali na aukcji wszelkie rzeczy sfantowane i oddawali je do użytku księdzu. Lecz one kary się posypały i stało się to, co przewidzieć było można, że przezacny kapłan musiał parafję opuścić i udać się na wygnanie.

Jakiż to był smutny dzień dla parafjan! Nietylko żal im serce rozdzierał dla tego, ponieważ stracili zacnego pasterza, lecz także, że mieli pozostać sierotami, bo innego księdza nie mogli otrzymać.

Na samą myśl zaś, że mógłby ich spotkać taki los, jak parafjan sąsiednich, rozpacz ich przejmowała.

Ks. proboszcz staruszek opuszczał parafję z takiem uczuciem, że już do niej żyw nie wróci Zdrowie jego było zniszczone, siły podcięte, choroba tak go gnębiła, że ledwie się na nogach trzymał.

Skazany na wygnanie zwrócił swe oczy na pobliski Kraków, ów Rzym polski, każdemu sercu polskiemu nad wyraz drogi i miły. Jeżeli cośkolwiek mogło zmniejszyć smutek, to ta okoliczność, że szedł między braci, między którymi znajdzie serca, co serce jego zrozumieć i pocieszyć potrafią.

I ta pociecha mu pozostała, iż parafjanie mogli go od czasu do czasu odwiedzać w Krakowie. W ten sposób miał możność krzepić choć z oddalenia ducha swoich owieczek.

Parafjanie nie zapominali o swoim duszpasterzu. Nie było prawie tygodnia, aby ktoś z parafji nie przybył do Krakowa i nie odwiedził wygnańca.

A ksiądz proboszcz cieszył się każdemu i witał serdecznie.

Pod jesień przywiózł sołtys Sieroń wiadomość, że ksiądz proboszcz zaniemógł. Właśnie w październiku przypadały jego imieniny, więc postanowiono wybrać się licznie w celu złożenia życzeń i odwiedzenia chorego.

Przeszło sto osób z parafji jechało do Krakowa, mężczyźni i kobiety. Wieziono piękne podarki, ale przedewszystkiem wieziono miłujące serca, najpiękniejszy podarek. Pan Bóg dziwnie wspierał czcigodnego starca. Kiedy bowiem parafjanie nadjechali, już słabość minęła, a ksiądz proboszcz mógł mszą świętą odprawiać.

Mieszkał u księży Paulinów na Skałce, gdzie świątobliwy biskup św. Stanisław przed wiekami śmierć poniósł męczeńską. Ojcowie Paulini z dawien dawna szczególną otaczali życzliwością Ślązaków i chętnie ich u siebie gościli.

Więc i tym razem przyjęli ich mile i natychmiast znać dali księdzu wygnańcowi o odwiedzianch. W rozmównicy, którą prędko przystrojono w kwiaty, ustawili się przybyli i czekali.

Gdy ks proboszcz z ks. patronem weszli, wystąpił sołtys Sieroń i tak się odezwał:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedział ks. proboszcz.

— Jako wierne owieczki przybywamy dziś, przezacny nasz duszpasterzu, ażeby w dniu Imienia złożyć życzenia nasze, z wdzięcznego i miłującego serca pochodzące. Bóg spuścił na nas krzyż ciężki, żeśmy naszego pasterza postradali, lecz choć go między nami niema ciałem duch jego zawsze między nami przebywa, a pamięć jego w sercach naszych mieszka. Jakżeby miało być inaczej? Wszakże wszyscy jesteśmy uczniami i wychowankami księdza proboszcza; wszakże wszyscy doznaliśmy jego pomocy; wszakże wszyscy mamy powody wdzięczności. Ty, nasz najukochańszy duszpasterzu, byłeś nam zawsze najtkliwszym ojcem i opiekunem, tyś nam był wzorem miłości Boga i bliźniego, tyś sercami naszemi rządził, dodobrego je zachęcał i zapalał Przychodzimy i jako kiedyś biedni pastrze, przynosimy ubogie upominki. Nie patrz na ich małą wartość, lecz na uczucie, z jakiem je ofiarujemy Oto serca nasze, rozradowane tym miłym widokiem, że widzą cie za łaską Bożą znowu zdrowszego, otwierają się ku tobie i chciałyby miłość jaką do ciebie pałają, wyrazić przez moje nieudolne usta. Niechaj Pan Bóg darzy cię zdrowiem, niech przedłuża twoje życie i niech sprawi, ażebyś znowu wrócił między nas ku naszej radości i pożytkowi dusz. Oby to Bóg sprawił!

Tu sołtys skończył.

Podczas jego przemowy ks. proboszczowi spadały z oczu wielkie łza radości p opoliczkach Cóż bowiem milszego dla duszy kapłana, jak wdzięczność serca owieczek.

Kiedy zaś sołtys pochylił się i ucałował ręce proboszcza, a inni zaczęli się cisnąć, aby to samo uczynić, przezacny starzec gładził po głowach ciągle powtarzając:

Moje kochane dzieci!....

Wszyscy byli wzruszeni. Gdy się nieco uspokoili, ksiądz proboszcz tak rzekł:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice
Redaktor dodatku: B. Nuszkowski, Chojnice
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice